RYSZARD TUNKIEWICZ

Opowieść o Człowieku o Stalowych Nogach

Dookoła świata przez 8 kontynentów

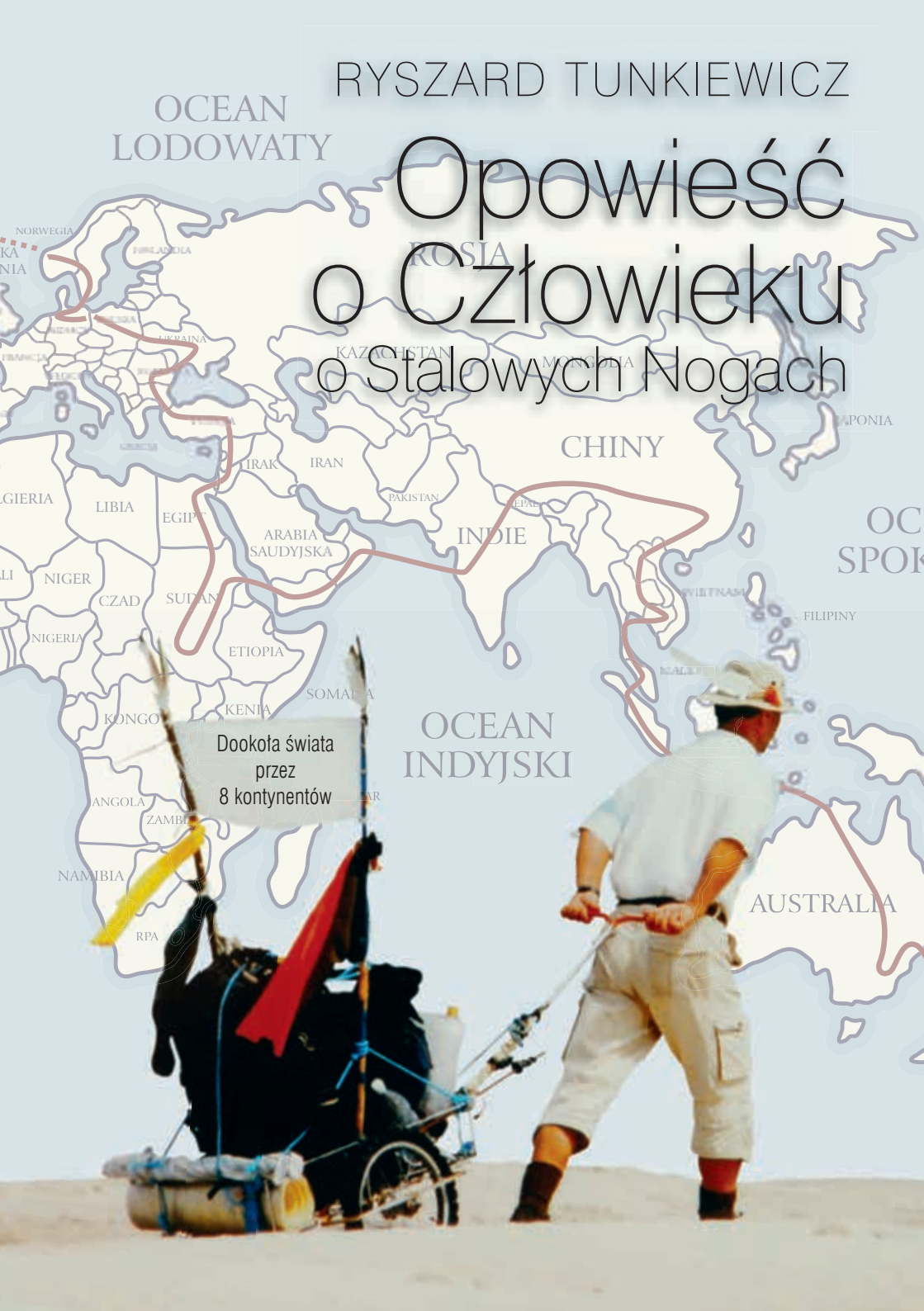

Opowieść o Człowieku
o Stalowych Nogach

RYSZARD TUNKIEWICZ

Opowieść o Człowieku o Stalowych Nogach

Dookoła świata przez 8 kontynentów

BookEdit

Copyright © Ryszard Tunkiewicz, 2021

Projekt okładki: JENA

Ilustracje na okładce: © archiwum Autora,
mapka świata (s. 165) designed by freepik

Redakcja: Anna Kielan

Korekta: ERATO

DTP: JENA

ISBN 978-83-66995-20-8

Wydawca
BookEdit
tel. 512 087 075
e-mail: redakcja@bookedit.pl
www.bookedit.pl
facebook.pl/BookEditpl
instagram.pl/bookedit.pl

Książkę tę dedykuję mojej Kochanej Żonie Jadwidze.

Kochanie!
Ciągle biegnę po swoje marzenia
Przecież chyba po to się żyje, żeby je spełniać
Pozwalasz mi sobą być
Pozwól dalej mi być kim chcę
Pozwól mi jeszcze spełniać się
Pozwól mi szczęśliwym być
i w dalszym ciągu kochać Cię

Twój mąż Ryszard „Rysio”

Moją dewizą życiową zawsze było, jest i będzie:

Nie ma rzeczy niemożliwych do zrealizowania.
Chcieć to móc.

Do napisania książki o moich podróżach i przygodach zainspirowały mnie słowa, które gdzieś przeczytałem:

„Coś, co się wydarzyło, a nie zostało zapisane, powoli odchodzi w zapomnienie i przestaje istnieć".

SPIS TREŚCI

Tytułem wstępu 9
Narodziny marzeń 11

1968 r. Podróż z ojcem na Litwę 12
1971 r. Podróż tandemem z kolegą Jankiem 13
1973 r. Podróż na Litwę z ojcem po obrączki ślubne 27
1976 r. Trabantem dookoła Polski, czyli podróż poślubna śladami wyprawy tandemem 29
1981 r. Austria – pierwsza podróż za zachodnią granicę 33
1995 r. Włochy, wyspy greckie, w tym Santorini 36
1996 r. Statkiem z Odessy do Izraela 38
1997 r. Objazd dookoła Włoch 48
2001 r. Wyprawa samochodem Peugeot Partner na Nordkapp 54
2004 r. Kuba – wyjazd na 30-lecie wspólnego pokonywania trudności życiowych 58
2004 r. Marsz brzegiem Bałtyku, czyli oficjalnie: Marsz od granicy „D" do granicy „RU" 60
2006 r. Żaglowiec „Victoria" i wyprawa na Islandię samochodem marki Mercedes 104
2007 r. Wyprawa na Mont Blanc 111
2008 r. „Śladami Noego" – zdobycie szczytu Ararat 128
2008 r. Iskrząca się Góra – Kilimandżaro 134
2009 r. Marsz do Korzeni – ze Szczecina do Wilna i Najdun 140

2009 r. 15 krajów Europy – podróż Citroenem C-15 151
2009 r. Wyprawa do Kazachstanu 154
2010 r. Śladami Czyngis-chana. 155
2011–2012 r. Wielka podróż dookoła świata „Śladami Polonii” 165
2013 r. Piechotą wzdłuż Odry. 269
2014 r. Samochodem dookoła Morza Kaspijskiego – z piekła do raju 274
2017 r. Antarktyda – Arktyka (Grenlandia i Spitsbergen) 280
26.12.2017 – 5.03.2018 Dookoła Afryki – podróż w etapach. 291
2019 r. Rejs po Zatoce Perskiej 325
2020 r. Podróż „Dookoła świata z żoną”. 327
2020 r. Wyprawa rowerowa „Od źródeł Wisły ku jej ujściu”. 328
2021 r. Rowerem wzdłuż zachodniej granicy Polski 331

Epilog 333
Rejestr podróży 335

TYTUŁEM WSTĘPU...

Nazywam się Tunkiewicz. Ryszard Tunkiewicz. Zwą mnie *Człowiekiem o Stalowych Nogach*, bo to właśnie moje nogi niosą mnie najczęściej po świecie – nie samochód, rower, motor, jacht czy samolot, ale nogi. Najczęściej więc – wędruję, czasem – podróżuję samochodem, najrzadziej natomiast zwiedzam świat, korzystając z drogi powietrznej i wodnej.

Moją domeną są podróże, którym bliżej do ekstremalnych wypraw (samotnych lub w grupie) niż do wycieczek. Na zorganizowane wycieczki wyprawiałem się tylko z moją żoną Jadwigą – na samym początku mojej przygody z podróżowaniem oraz w przerwach pomiędzy prawdziwymi wyprawami (zwanymi przez moją żonę „poniewierkami po świecie").

Podróżuję, bo chcę d o ś w i a d c z a ć świata. Dawno temu postanowiłem, że chcę, że **muszę (!)** zwiedzić cały świat; że chcę dotrzeć do każdego kraju na Ziemi i zobaczyć jak najwięcej z tego, co nasz wielki, bardzo urozmaicony świat ma do zaoferowania. Aby tego dokonać, muszę światła doświadczać specyficznie – poprzez dotknięcie. Bo zwiedzić i poznać bardzo dokładnie – nie sposób. Gdybym chciał ten świat zwiedzać, nie starczyłoby mi życia. Życie ludzkie jest zbyt krótkie, aby móc c e l e b r o w a ć pobyt w każdym zakątku świata. Dotykam zatem w kolejnych moich podróżach kolejnych państw – z nadzieją, że mojego życia starczy na to, aby odwiedzić wszystkie kraje, jakie istnieją na ziemskim globie. Do 2021 r. udało mi się odwiedzić 150 krajów niepodległych oraz kilka terytoriów zależnych, między innymi Gibraltar, Macao, Hongkong. Z każdego odwiedzonego państwa starałem się przywieźć w ramach pamiątki kubek z nazwą tego kraju. Ponieważ jednak kolekcja kubków zajęła już pokaźną liczbę półek w moim domu, poza tym kubki się tłuką, postanowiłem zamienić to hobby na magnesy na lodówkę z nazwą odwiedzanego kraju. Magnesy są praktyczne: nie tłuką się, zajmują mniej miejsca, a na dodatek można nimi przymocować coś ważnego na lodówce i mieć zawsze na oku, na przykład mapę z planowaną trasą kolejnej wyprawy.

Zwiedzenie świata było moim marzeniem od zawsze. Marzenie to pojawiło się dawno, nawet bardzo dawno temu – kiedy byłem jeszcze nastolatkiem. Jak wielu innych podrostków w moim wieku zaczytywałem się w powieściach podróżników, których nazwiska powoli może i zaczyna pokrywać kurz niepamięci, bo są oni znani pewnie coraz mniej licznemu gronu przedstawicieli obecnego młodego pokolenia. Jednak dla osób z mojego pokolenia były to nazwiska swoistych celebrytów, i to celebrytów światowej sławy: globtroterów, łowców przygód. Takich jak – między innymi – Arkady Fiedler, Alina i Czesław Centkiewiczowie, Alfred Szklarski czy Tony Halik. [Skoro o Tonym Haliku mowa: po zakończeniu mojej podróży dookoła świata, na festiwalu podróżniczym otrzymałem nagrodę jego imienia, a wręczał mi ją Marek Fidler – syn Arkadego Fidlera.]

Zafascynowany tym, co opisywali w swoich książkach, postanowiłem i ja – Ryszard Tunkiewicz – rozpocząć swoje podróże – małe i duże. Wyróżniać miały się tym, że setki a nawet tysiące kilometrów pokonywać miałem piechotą – na własnych nogach, które z czasem okrzyknięto *stalowymi.*

Podróży tych odbyłem już kilkadziesiąt – za każdym razem w inny rejon świata, kontynentu europejskiego lub naszej pięknej Polski.

Czy zwiedziłem już wszystkie kraje świata? Na chwilę obecną, czyli na czas pisania tej książki, dotknąłem już zdecydowanej większości, ale nie wszystkich. Dlatego przede mną kolejne mniejsze podróże i… kolejne wyprawy dookoła świata. Bo jedną już odbyłem.

Na drugą podróż dookoła świata zaprosiłem kogoś absolutnie wyjątkowego – moją żonę Jadwigę, która towarzyszy mi w życiu od kilkudziesięciu lat, rozumie moją pasję i wspiera mnie w realizacji moich marzeń. To dzięki Jej cierpliwości, miłości i zaufaniu do mnie mogę realizować kolejne zadania, które sobie wyznaczam, czyli doświadczać nowych fragmentów świata, a czasem nawet ten świat – mimo nastawienia głównie na doświadczanie przez dotykanie – odrobinę celebrować.

Ta książka nie powstałaby, gdyby nie moja żona Jadwiga. Wiele kobiet na Jej miejscu rozstałoby się ze mną bez większych ceregieli. Jadwiga trwa przy mnie, wspiera mnie, akceptuje moje dziwactwa podróżnika, ale kiedy uznaje, że tak trzeba – stawia mi twarde warunki małżeńskie.

Ponieważ moja *druga połówka* akceptuje moje życiowe hobby, dane mi było i jest przemierzać świat, Europę, Polskę. A Ty, miły Czytelniku, możesz teraz czytać o Ryszarda Tunkiewicza podróżach – małych i dużych.

Opowieść o *Człowieku o Stalowych Nogach* zaczyna się tak…

NARODZINY MARZEŃ

Urodziłem się w 1950 r. Od zawsze jestem mieszkańcem Szczecina, ale moja rodzina pochodzi z Litwy, konkretnie z Najdun, małej wioski leżącej kilkadziesiąt kilometrów od Wilna – niegdysiejszej stolicy Wielkiego Księstwa Litewskiego i miasta, w którym do tej pory silnie splatają się nurty polskie i litewskie. Na Litwie są moje korzenie i tu podróżowałem kilkakrotnie – w tym raz piechotą, idąc od Szczecina do Najdun samotnie, mając za towarzysza jedynie wózek z niezbędnym dobytkiem wędrowca.

Jak wspomniałem we wstępie, odkąd pamiętam, byłem owładnięty pasją podróżowania: chciałem dotykać świata, poznawać ludzi, zwiedzać miejsca, kosztować nieznanego… Doświadczanie świata poprzez oglądanie telewizji, czytanie prasy i książek to było dla mnie stanowczo za mało. Chciałem doznawać dużo…, mocno…, jak najwięcej! Jak Czingis-chan, który chciał zdobyć (podbić) świat. Ja jednak chciałem zdobywać ten świat pokojowo – przez podróże. Jedna z moich późniejszych wypraw na wschód była podróżą w kierunku Imperium, jakie Chingis-chan stworzył.

Musiałem jednak na to znaleźć sposób.

Pochodzę z domu, w którym się nie przelewało: moi rodzice musieli wykarmić, ubrać, wykształcić pięcioro dzieci i każdemu jeszcze czasem dorzucić kilka złotych na ważne dla niego sprawy: plakat idola, płytę czy inny gadżet, który akurat w tamtym okresie dla mnie lub mojego rodzeństwa był ważny. Jeśli więc chciałem podróżować, musiałem samodzielnie zadbać o możliwość realizacji mojej pasji pod kątem finansowym. Musiałem stać się zaradny.

Samodzielne finansowanie charakteryzowało każdą z moich wypraw w późniejszym czasie, w tym – trwającą ponad rok wielką wyprawę dookoła świata.

1968 r. Podróż z ojcem na Litwę

– *Rysiu, pakuj się. Jedziesz ze mną bardzo daleko – na Litwę* – oznajmił mi któregoś dnia mój ojciec.

Oczy mi się najpierw zrobiły okrągłe ze zdumienia, a potem to już tylko śmiały się radośnie na myśl o podróży. To była moja pierwsza wielka wyprawa! Miałem wtedy 18 lat. Mój ojciec zdecydował, że pora najwyższa, abym zobaczył, skąd wywodzą się jego korzenie i przy okazji poznał taty i moją familię z Najdun na Litwie. Ojciec chciał też, abym zobaczył Wilno i okolice – bo być na Litwie i nie odwiedzić jej stolicy to prawie tak samo, jak być w Rzymie i nie zobaczyć papieża. Zresztą, na odwiedzenie Wilna byliśmy w pewnym sensie skazani, gdyż pociąg z Warszawy, którym mieliśmy podróżować, miał nas dowieźć właśnie do tego miasta.

Mój tata postanowił więc zabrać mnie do ówczesnej Republiki Litewskiej – jednej z wielu wówczas republik tworzących dawny ZSRR (Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich). Ojcu zależało również i na tym, aby przedstawić litewskiej części rodziny swojego dorastającego syna, czyli mnie. Nie ukrywał, że chce się mną przed familią pochwalić – ot, ojcowska duma, bo przecież ja niczego wielkiego w moim młodym życiu nie zdążyłem jeszcze dokonać.

Wyruszyliśmy zatem pociągiem ze Szczecina wraz z moim tatą na pierwszą (i nie ostatnią), męską wspólną wyprawę do korzeni. (Po wielu latach, chcąc upamiętnić 100. rocznicę urodzin ojca, trasę ze Szczecina do Wilna pokonałem pieszo – o czym piszę w dalszych rozdziałach tej książki. Nazwałem tę wędrówkę nie inaczej, jak „Marsz do korzeni").

Dla mojego ojca była to podróż sentymentalna – po drodze opowiadał mi dużo o kraju swojego dzieciństwa. Pod wpływem tych opowieści w mojej głowie zarysował się obraz utopijny prawie. Widziałem już siebie skaczącego do wody z drewnianego pomostu na rzeczce, gawędzącego wieczorami z wujkami, ciotkami i kuzynostwem przy piecu, na którego gorącej blasze stał metalowy czajnik z wodą przekonującą dyskretnym szumem, że jest idealnie gorąca do zalania herbaty…

A tu bęc i bum! Rzeczywistość zweryfikowała bezlitośnie te wyobrażenia. Nie tylko moje – mój ojciec również musiał pożegnać się z marzeniami o powrocie do sielskiej krainy swoich lat dziecinnych, bo w ciągu 23 lat od czasu, gdy opuścił Najduny, Litwa bardzo się zmieniła. To był już zupełnie inny kraj. I ludzie też ulegli zmianie. Nie zmieniły się jedynie dwie rzeczy: gościnność Polaków, których zawirowania polityczne

związane ze zmianami granic zmusiły do pozostania po stronie rosyjskiej i ich upodobanie do familijnych, suto zakrapianych biesiad.

Rodzina ojca przyjęła nas bardzo serdecznie i tradycyjnie. Ugościła, czym chata bogata. Przekazywano nas sobie z rąk do rąk prawie (dosłownie), a tam, gdzie akurat przebywaliśmy, schodziły się tłumy bliższych i dalszych krewnych oraz sąsiedzi.

W drugim dniu naszej wizyty w Najdunach do domu jednego z krewnych weszła bardzo sędziwa acz zażywna kobieta. Zmarszczki na jej twarzy były tak głębokie, że mnie – wówczas 18-letniemu młokosowi – wydawało się, iż kobieta ta ma chyba 120 lat albo i więcej! Ciekaw byłem, co to za ważna dla mojego ojca cioteczna babka, bo kiedy tato ją zobaczył, popłakał się ze wzruszenia i długo tulili się na powitanie. Wreszcie nadeszła chwila, kiedy ojciec wskazał babuleńce moją skromną osobę i przedstawił. Wpadłem wtedy w osłupienie, bo dowiedziałem się, że to żadna cioteczna babka ojca tylko jego rodzona, najstarsza siostra! Okazało się, że różnica wiekowa między moim tatą a nią była spora – wynosiła kilkanaście lat; dodatkowo trudne warunki życiowe spowodowały, że moja ciocia wyglądała na bardziej wiekową, niż była w rzeczywistości.

Podróż tę zapamiętałem na zawsze – nie tylko dlatego, że była pierwszą poważną wyprawą w moim życiu, w dodatku z ojcem i doprowadziła u mnie do narodzin głębokiego przekonania, że chcę zwiedzać świat i poznawać ludzi. Również dlatego, że gościnność mieszkańców Najdun była tak wielka, iż któregoś dnia mój ojciec stanowczo zdecydował o wyjeździe, bojąc się, że jego krew zamieni się w pierwszorzędny litewski spirytus…

1971 r. Podróż tandemem z kolegą Jankiem

Będąc u progu dorosłości wymarzyłem sobie, żeby rowerem objechać Polskę. Caluteńką. I odwiedzić wszystkie miejsca ważne, czyli takie:

– o których się słyszało, mówiło i czytało;

– które każdy szanujący się pasjonat podróży małych i dużych powinien odwiedzić;

– o których istnieniu nie miałem pojęcia (bo niby skąd, jeśli dostępne książki i przewodniki turystyczne traktowały głównie o atrakcjach w krajach sąsiadów a nie o polskich cudach natury lub pamiątkach historycznych).

Na dodatek chciałem tę podróż odbyć, mając współtowarzysza – bo kiedy planuje się taką wyprawę, w dodatku pierwszą w swoim życiu,

to obecność drugiego człowieka wydaje się rzeczą absolutnie oczywistą. We dwójkę zawsze przecież raźniej, weselej, bezpieczniej; i pewniej, że dojedzie się do celu. No i w razie awarii roweru jest nas dwóch: i do naprawy, i do pchania. Łatwiej też zorganizować wiele spraw, jeśli rower zepsuje się gdzieś na bezdrożach: wówczas jedna osoba udaje się na poszukiwania części do naprawy, druga pilnuje naszego dwukołowego cudeńka.

Moim towarzyszem podróży został Janek Wszędybył – wówczas najbliższy mi kolega ze szkoły średniej. Był to dla mnie kolega wyjątkowy, ponieważ długo szukałem tak zwanej bratniej duszy. W szkole podstawowej nie trafiłem, niestety, na nikogo takiego.

Janek bardzo zapalił się do pomysłu wspólnej wyprawy. Uznał, że zwiedzenie Polski było planem, który mógł się udać. W przeciwieństwie do innych naszych marzeń niepokornych – między innymi dotyczących ucieczki z naszego kraju tam, gdzie rzeczywistość była inna i zdecydowanie lepsza od istniejącej w Polsce na początku lat 70. ubiegłego wieku.

Tak, takie przedziwne myśli plątały się w naszych gorących, wówczas dwudziestoletnich umysłach…

Moim celem miały być Niemcy Zachodnie, czyli te, w których – w przeciwieństwie do sąsiadujących bezpośrednio z Polską Niemcami Wschodnimi – istniał ustrój kapitalistyczny, uznawany przez nas, młodzież z bloku socjalistycznego, za synonim dobrobytu finansowego i komfortowych warunków życia. Prawie raj!

Moje fantazje były wówczas zaiste wielkie – wymyśliłem, że aby uchronić się przed deportacją do Polski, pojadę do Francji, a konkretnie do Brigitte Bardot, której byłem wielkim fanem. Miałem zamiar przeprowadzić z moją idolką wywiad i opublikować go w polskiej prasie. Uważałem, że byłoby to wydarzenie o tak epokowym znaczeniu (ponieważ żadnemu dziennikarzowi z naszego kraju nie udało się dotychczas porozmawiać ze słynną BB), iż stałbym się wyjątkowo sławny i dzięki temu uniknąłbym deportacji. Możesz, miły Czytelniku, się śmiać, ale ja naprawdę tak myślałem!

Kiedy po wielu latach pojechałem z moją żoną samochodem zwiedzać kraje Europy, dotarliśmy we Francji do miejsca, gdzie mieszka Brigitte Bardot. To piękna posiadłość – w bezpośrednim sąsiedztwie morza. Pomyślałem wtedy, że fajnie byłoby zapukać do drzwi domu aktorki i przedstawić się. Kto wie, co mogłoby z tego wyjść?…

Niestety – okazało się, że do rezydencji nie było możliwości dotarcia, gdyż cała posiadłość była pilnie strzeżona przed oczami postronnych. Od strony lądu posesja jest obsadzona z każdej strony wysokimi iglakami i dojścia do niej strzeże ochrona. Natomiast od strony morza też nie da się tam dostać, gdyż aktorka zastrzegła sobie ponoć, że nie wolno popływać pod jej rezydencję bliżej, niż na określoną odległość od brzegu.

Jeśli po przeczytaniu tego akapitu, pomyślisz, drogi Czytelniku, że marny ze mnie patriota, to wiedz, że nie byłem odosobniony w snuciu marzeń o ucieczce z kraju. Wielu młodych z mojego pokolenia o tym myślało. Z perspektywy czasu cieszę się jednak, że ten niedorzeczny pomysł nie doczekał się realizacji – znając kilka historii osób, które zamieniły marzenia o lepszym życiu na zachodzie Europy w czyn, czyli w ucieczkę, wiem, że było to wyjątkowo niebezpieczne przedsięwzięcie, które nie każdemu się udało.

Rekompensatą za niegdysiejsze niepatriotyczne plany niech będzie to, że odkąd tylko zacząłem podróżować, to w każdym kraju świata, do którego dotarłem, podkreślałem z dumą, że jestem z Polski, ze Szczecina – z pięknego miasta położonego we wspaniałym, fascynującym kraju, który kocham z całego serca. I wszędzie, gdzie docierałem, szukałem śladów polskości i Polaków porozrzucanych przez los i dzieje po całej naszej planecie. Szczególnego znaczenia nabrało to podczas największej z moich dotychczasowych wypraw – podróży dookoła świata – ponieważ była to podróż ze specjalną misją: śladami Polonii.

O tym przeczytasz, drogi Czytelniku, dalej, a tymczasem wróćmy do tandemu.

Obecnie z zakupem roweru nie ma żadnych problemów: wystarczy pójść do sklepu i wybrać model idealnie dopasowany do marzeń i zasobności portfela. Moja młodość – ta burzliwa, wichrzycielka, marzycielska – przypadała jednak na czasy głębokiego PRL-u. Wtedy zdobycie zwykłego roweru może nie graniczyło z cudem, bo można było ten środek lokomocji kupić w sklepach, ale już zakup tandemu, dzięki któremu mógłbym odbyć podróż ze współtowarzyszem, był nie do zrealizowania, bo takich rowerów w ofercie nie było (no, chyba że ktoś miał niezłe znajomości u handlowców; ja ich, niestety, nie miałem). Zakup dwuosobowego roweru przerastał także moje i Janka możliwości finansowe.

Zawsze uważałem, że nie ma rzeczy niemożliwych do zrealizowania, a chcieć to móc – dlatego skoro nie mogłem tandemu kupić, postanowiłem zrobić go samodzielnie.

No dobrze, ale skąd w głębokim PRL-u wziąć elementy na tandem? Sklepy odpadały, a hurtowni wówczas jeszcze nie było…

Na szczęście były złomowiska!

Tandem ostatecznie powstał z zespawanych przez nas elementów pobranych od trzech rowerów, których przeznaczeniem było dokonać bicyklowego życia jako surowiec do przetopienia w hucie. Pocięliśmy i zespawaliśmy poszczególne elementy ramy, kierownicę, przekładnię łańcuchową, dopasowaliśmy siodełka, pedały i nasz rower był gotowy!

Był zbudowany wyjątkowo prosto, a jego wytrzymałość konstrukcyjna dostosowana była do jednej osoby a nie dwóch (nie mogło być inaczej, bo każda jego część pochodziła przecież z rowerów jednoosobowych). Był to rower na tzw. ostre koła, co znaczy, że nie miał przerzutek i mógł jechać tylko do przodu.

Kiedy ma się 20 lat, silne ciało, głowę pełną marzeń, a serce – zapału, i żyje się w czasach PRL-u, pojęcia takie, jak komfort podróży bądź udogodnienia, dzięki którym jazda na rowerze mogłaby być mniej męcząca, są niczym abstrakcje i nie były brane pod uwagę. Ba, żadnemu z nas nawet przez myśl mnie przemknęło, że tandem mógłby mieć jakieś elementy, dzięki którym jazda byłaby łatwiejsza i bardziej przyjemna.

Zespawaliśmy nasz rower tak, jak potrafiliśmy – może siermiężnie, ale zgodnie z celem, któremu pojazd miał służyć: wieźć nas do przodu, przejechać sporo kilometrów po Polsce i dowieźć z powrotem do domu – do Szczecina. I rzeczywiście to się udało – choć łańcuch pękał i spadał, dętki i metalowe elementy szybko się zużywały, a nasze obolałe pośladki były wymownym dowodem na brak amortyzacji w pojeździe.

Gdybyśmy odbywali taką podróż dziś, byłaby to wyprawa szeroko komentowana w mediach – przynajmniej tych społecznościowych, a sponsorzy pewnie prześcigaliby się w oklejaniu roweru reklamami. Jednak w latach 70. XX wieku zjawisko komercyjnego sponsoringu w Polsce nie istniało. Ponieważ musieliśmy z Jankiem finansowo liczyć tylko na siebie, naszą wyprawę zabezpieczyliśmy pieniędzmi, które uzyskaliśmy w trakcie płatnych szkolnych praktyk zawodowych. Nie było tego wiele, ale umożliwiało przeżycie, czyli zakup jedzenia, picia i biletów wstępu do miejsc, które zwiedzaliśmy. Na noclegi nie wydawaliśmy pieniędzy

– zaplanowaliśmy wstępnie trasę tak, aby móc korzystać z gościnności naszych krewnych i znajomych krewnych rozrzuconych po całej Polsce. Większości z tych ludzi nie znaliśmy, a wielu z nich nie miało nawet pojęcia, że w ich rodzinie istnieje niejaki Rysiek Tunkiewicz!

Nie było wtedy internetu, telefonów komórkowych i wielu innych wynalazków, które dziś umożliwiłyby nam szybki kontakt zapoznawczy i zaanonsowanie się z wizytą. Jechaliśmy więc w ślepo – pod adres uzyskany od ciotek, wujków, sąsiadów…, z naiwną wiarą PRL-owskich dwudziestolatków, że dzięki gościnności tych ludzi uda się nocą przyłożyć głowę do miękkiej poduszki. I udawało się! Bo ludzie byli wówczas inni – bardziej serdeczni i gościnni.

Wyobraź sobie, miły Czytelniku, że dziś niespodziewanie zajeżdżasz dwuosobowym rowerem pod dom obcego sobie człowieka – przepocony, skurzony, pogryziony przez komary i w strzępiących się trampkach. Przedstawiasz się gospodarzowi jako syn kuzyna jego wujka ze strony babki i prosisz o nocleg dla siebie i kolegi… Nie wiem, czy w obecnych czasach i przy takiej mentalności, jaką ludzie mają obecnie, dziś ktokolwiek przyjąłby nas pod dach. [Chyba najprędzej policja wezwana przez krewnego niedowierzającego słowom dwóch zakurzonych młokosów.] Wtedy jednak nie było z tym żadnego problemu.

Nasza podróż po Polsce stała się nieoczekiwanie wyprawą poszerzająca wiedzę o familii, a mojemu towarzyszowi – Jankowi – umożliwiła dodatkowo rzecz niezwykłą, a mianowicie poznanie swojej babci. Tak, on – chłopak wówczas prawie 21-letni – po raz pierwszy spotkał się z mamą swojego ojca! Gdyby Janek nie wybrał się ze mną w Polskę, możliwe, że nigdy by jej nie poznał – nie miał bowiem okazji po raz kolejny spotkać się z babcią, gdyż starsza pani 3 lata po naszych odwiedzinach zmarła.

Dzięki nocowaniu u krewnych bliższych i dalszych udało mi się poznać większość mojej rodziny. Nigdy nie zapomnę emocji, które towarzyszyły każdemu spotkaniu: błysku olśnienia w oku, kiedy gospodarz odkrywał podczas mojego przedstawiania się, że jest moim krewnym, czy mojego osłupienia, kiedy odkrywałem, że dużo starszy ode mnie mężczyzna był moim dalszym kuzynem.

Nocowanie u krewnych i znajomych miało podwójnie dobroczynny wpływ na moje i Janka finanse – nie tylko oszczędzaliśmy na zakwaterowaniu, ale także na wyżywieniu. Takie były wtedy czasy, że choć żyło się dużo skromniej niż teraz, to zapewnienie nocującemu gościowi także

posiłków, było oczywistością. A że członkowie i mojej, i Janka familii okazali się nadzwyczaj gościnni, i chętni do długich, trwających nieraz prawie całą noc pogawędek o losach krewnych i kraju, to niejednokrotnie pozostawaliśmy w jednym miejscu przez kilka dni, zwiedzając przy okazji dokładniej okolicę.

Wyprawa tandemem była pierwszą moją samodzielną wielką podróżą i wówczas jedyną szansą na eskapadę – zgodnie z planem i poza planem – bez troski o środek transportu. Oczywiście odbywaną w granicach naszego kraju, bo o zwiedzaniu świata, szczególnie krajów, które położone były poza blokiem państw socjalistycznych, mogłem tylko pomarzyć.

Podróż rowerem dawała też jedyną możliwość zobaczenia czegoś nowego – regionów i miejsc, których obrazy pojawiały się w telewizji lub w ilustrowanych artykułach prasowych. Była też jedynym sposobem na doświadczenie smaków i aromatów, wydawać by się mogło swojskich, bo przecież cały czas polskich, ale – jak przekonaliśmy się z Jankiem – w każdym regionie kraju innych. Oraz niezastąpioną możliwością na poznanie nowych ludzi!

Alternatywą do roweru był autostop, ale nie chciałem być zależny od dostępności środka lokomocji. Nie chciałem też trasy tej mojej wymarzonej i w dodatku pionierskiej podróży przymusowo dostosowywać do planów kierowców, którzy byliby uprzejmi zabrać dwójkę młodych włóczykijów po drodze.

Każdy dzień wyprawy potwierdzał słuszność wyboru tandemu: bo jechaliśmy, gdzie chcieliśmy. Mieliśmy plany, ale korygowaliśmy je na bieżąco, bo kiedy po drodze dowiadywaliśmy się, że w okolicy, w której przebywaliśmy, warto odwiedzić miejsca leżące niedaleko, ale nieznane szerszemu gronu pasjonatów podróżowania, jechaliśmy tam! Zajeżdżaliśmy do wiosek, siół, ruin czy punktów widokowych, o których ówczesne przewodniki milczały. To było fascynujące odkrywanie! Polska okazała się tak pięknym, urozmaiconym i ciekawym krajem, że mnie – młodego chłopaka, któremu jeszcze niedawno po głowie snuły się myśli o ucieczce za granicę – zaczęła rozpierać duma, że to moja Ojczyzna!

Wyprawa tandemem trwała około miesiąca. To była podróż, w czasie której zobaczyliśmy wszystko, co zobaczyć chcieliśmy, co uznaliśmy po drodze za warte zobaczenia, o czym słyszeliśmy w radiu, telewizji bądź czytaliśmy w książkach albo w gazetach. Zobaczyliśmy wtedy i zwiedziliśmy

wszystko, co było dostępne dla oka – po lewej stronie i po prawej stronie naszej trasy. To była podróż nie tylko dookoła Polski, ale przez całą Polskę. Wyjechaliśmy ze Szczecina i obraliśmy kierunek na południe – ku Zielonej Górze, a następnie na Sudety i Śnieżkę. Stamtąd skierowaliśmy się na wschód naszego kraju. Minęliśmy Kotlinę Kłodzką, Góry Opawskie i dotarliśmy do pasma Karpat. Zwiedziliśmy Beskidy (dotarliśmy między innymi aż do źródeł Wisły), a potem naszym celem stała się Jura Krakowsko-Częstochowska. Dotarliśmy do Krakowa, zachwyciliśmy się kopalnią soli w Wieliczce i ruszyliśmy w kierunku Bieszczad. Nigdy nie zapomnę podmuchu wiatru, który niósł zapachy łąk i łagodne brzęczenie owczych dzwonków wypasanych na połoninach…

Z najdalej wysuniętego na wschód zakątka naszego pięknego kraju skierowaliśmy się ku północy – na Lublin, a stamtąd – do Olsztyna. Po drodze skręciliśmy jednak do Warszawy, bo stolicę naszego kraju trzeba było przecież zobaczyć. Podróżować po Polsce i nie zwiedzić Warszawy?… Nie do pomyślenia!

Na pięknej, niesamowicie zielonej ziemi warmińsko-mazurskiej zrobiliśmy skręt na zachód i, mijając kolejne jeziora, pojechaliśmy w kierunku Gdańska, gdzie mieszka część mojej rodziny. Po drodze jednak zahaczyliśmy jeszcze o Toruń – czuliśmy, że miasta Kopernika nie wypada pominąć, bo nasza podróż byłaby niekompletna.

Po pobycie w Trójmieście skierowaliśmy się na zachód i jadąc prawie cały czas wybrzeżem– najpierw Pomorza Wschodniego, potem Środkowego

(zwiedziliśmy po drodze Koszalin), aż wreszcie Zachodniego (obowiązkowo zajrzeliśmy do Kołobrzegu – modnego wówczas nadmorskiego kurortu i miasta Festiwalu Piosenki Żołnierskiej), dotarliśmy z powrotem do Szczecina.

Podróżowaliśmy zatem wokół Polski, ale trochę zakosami, dostosowując plan podróży do naszych marzeń, chęci, a także do potrzeby chwili. W tym wszystkim wszakże był jeden cel: aby zobaczyć, doświadczyć, posmakować – jak najwięcej, jak najmocniej!

Nasza podróż była bardzo elastyczna, ale realizowana cały czas według nadrzędnego planu, którym było objechanie naszego kraju. Zjeżdżaliśmy naszym tandemem tam, gdzie akurat było coś ciekawego do zobaczenia, a kiedy już zobaczyliśmy, doświadczyliśmy, przeżyliśmy, wówczas wracaliśmy na główną naszą trasę, która wiodła do kolejnego miasta lub regionu. Staraliśmy się dotrzeć wszędzie tam, gdzie to było możliwe, bo skoro nadarzyła się okazja zwiedzenia Polski, chcieliśmy dany nam czas maksymalnie wykorzystać. Nikt przecież nie dawał gwarancji, że będziemy mogli po raz kolejny dotrzeć do miejsc, które mijaliśmy.

Pod kołami miewaliśmy asfalt, polne ścieżki, leśne dukty i kocie łby. Nasz tandem spisywał się dobrze na nierównej powierzchni, ale czasem nie wytrzymywał obciążeń, na jakie był narażony. Najczęstsza usterka? Awarie łańcucha – spadał, pękał… Trzeba było wtedy zatrzymać się i doprowadzić rower do stanu używalności. Awaryjność nie wynikała jednak z nieprawidłowej konstrukcji naszego pojazdu, ale z tego, że powstał z elementów, które były dostosowane do przewozu jednej osoby a nie dwóch. Nikt nie przeprowadzał na tym rowerze żadnych testów, czy wytrzyma trasę naszej podróży. Tandem miał zatem pełne prawo się psuć. Rozumieliśmy to, ale nie oszczędzaliśmy naszego pojazdu – każda usterka była naprawiana, a my jechaliśmy naprzód.

Nasz ekwipunek ograniczyliśmy do minimum: namiot, menażki, turystyczna kuchenka niezbędniki ze sztućcami i zapasowe dętki. W jedzenie zaopatrywaliśmy się, kupując żywność na bieżące potrzeby po drodze bądź korzystając z serdeczności napotkanych ludzi. Pomimo PRL-owskich czasów, nie mieliśmy problemów z zaopatrywaniem się w potrzebne nam do życia produkty, bo sklepach było wtedy wszystko, czego potrzebowaliśmy. A nam było potrzebne naprawdę niewiele – głównie był to suchy prowiant: chleb, konserwy, ser. Ponieważ mieliśmy ze sobą turystyczną kuchenkę – tzw. kocher – codziennie rano mogliśmy zagotować sobie wodę na herbatę.

Pierwsze naprawy

Jeśli nie potrafiliśmy znaleźć noclegu u rodziny bądź w innym miejscu, rozbijaliśmy namiot i spaliśmy w nim. Tak samo robiłem potem podczas każdej mojej kolejnej wyprawy– namiot stawiałem tam, gdzie był mi potrzebny nocleg. Oczywiście, szukałem najpierw odpowiedniego miejsca, czyli takiego, w którym człowiek czuje się bezpieczny, nie nagabywany przez innych i nie kontrolowany przez służby. Takie miejsce najpewniej znaleźć w lesie – z tego powodu niejednokrotnie podczas moich wypraw nadkładałem drogi, wchodziłem głęboko w zieleń i tam rozbijałem swój tymczasowy obóz. Kiedy przychodził dzień, wracałem na moją trasę i wędrowałem dalej, aż do zmroku. Potem znów poszukiwałem miejsca noclegowego, a jeśli go nie znalazłem, to rozbijałem obozowisko głęboko w lesie.

Podróż dookoła Polski własnoręcznie złożonym tandemem trwała około miesiąca, ale zachowało się z niej zaledwie kilka zdjęć – bodajże tylko pięć. Na jednym stoimy z Jankiem przy kamieniu pod Grunwaldem. To historyczny głaz – dlatego, choć zdjęcia musieliśmy pstrykać bardzo oszczędnie, gdyż byliśmy ograniczeni liczbą klatek w filmie fotograficznym (36 sztuk), uznaliśmy, że naszą wizytę przy nim musimy uwiecznić na kliszy.

Z powodu małej liczby klatek na filmie fotograficznym robiliśmy sobie z Jankiem zdjęcia w punktach, które określiłbym jako strategiczne, czyli takie, dzięki którym mogliśmy udowodnić, że faktycznie w danym miejscu

Grunwald, były dwa miecze, teraz są dwa koła.

byliśmy i zwiedziliśmy konkretne miejsce. Były to punkty bardzo dobrze rozpoznawane – potrafiły je nazwać nawet osoby mające kiepskie pojęcie o geografii Polski. Wspomnę tu, że ponieważ na początku lat 70. XX wieku w prasie, telewizji i radiu najwięcej informacji o ciekawych zakątkach w Polsce dotyczyło przede wszystkim pamiątek historycznych, więc też i plan naszej podróży był skoncentrowany na tego typu atrakcjach turystycznych. Do dyspozycji mieliśmy mapę – najzwyklejszą, fizyczną mapę Polski. Nie było wtedy przewodników turystycznych, jakie znamy obecnie, ani planów miast ze wskazanymi atrakcjami. Pytaliśmy zatem napotkanych ludzi o drogę do konkretnych miejsc, czytaliśmy drogowskazy… Jeśli zabłądziliśmy, to mieliśmy problem: nie tylko traciliśmy czas na powrót na właściwą trasę, ale zużywaliśmy na to wiele energii.

W czasie naszej podróży tandemem wszystko było na oko, na pamięć, na dopytywanie się… To było podróżowanie z ludźmi, którzy nieraz byli lepsi w przekazywaniu wartościowych dla mnie i Janka informacji, niż niejeden profesjonalny przewodnik turystyczny – drukowany lub żywy. Z ludźmi w czasie podróży ma się przecież cały czas kontakt – podczas przypadkowych rozmów, dopytywania o coś. I wtedy właśnie – przy okazji – człowiek dowiaduje się o wielu rzeczach, których nie znajdzie się w żadnym przewodniku.

Lubię podróżować z ludźmi. Dlatego nie korzystam w technologii typu GPS czy przewodników, w których można wszystko wyczytać o lokalizacji. Dzisiejsza technologia na pewno jest bardzo użyteczna, ale mając wszystko w telefonie bądź w innym nośniku pamięci elektronicznej, drugi człowiek w tej podróży – jako twój towarzysz – przestaje być potrzebny. Bo skoro wszystko masz ze sobą w smartfonie, to po co ktoś inny obok ciebie?...

Teraz powoli zaczyna się nasilać moda na utrudnianie sobie podróży, odrzucanie łatwych wyborów. My z Jankiem wtedy wyboru nie mieliśmy; trudno (jak na dzisiejsze czasy) – było z założenia. Żaden z nas nie traktował jednak owej trudności, jak... utrudnienia. Wręcz przeciwnie. Nasza podróż była kuszącym wyzwaniem, wymarzoną przygodą. Towarzyszące wyprawie emocje podsycane były dodatkowo przez nieprzewidywalną pogodę: z nieba lał się żar albo ulewa tak silna, że nawet myśli miewaliśmy mokre. Nie było wtedy odzieży, która chroniła tak doskonale przed wiatrem bądź ulewą, jak współczesne *goretexy* czy *softszele*.

Kiedy na trasie dopadał nas deszcz, to często – przemoknięci do suchej nitki – jechaliśmy dalej. Pęd podczas jazdy i rozgrzane ciało okazywały się najlepszymi narzędziami wspomagającymi szybkie suszenie odzieży, którą mieliśmy na sobie. Przebieranie się w suche ubrania nie miało sensu – z tej prostej przyczyny, że jeśli ulewa była solidna, to zalewała skutecznie wszystko, co wieźliśmy w plecakach. Ortalionowe poszycia plecaków – choć na tamte czasy niezwykle nowoczesne i praktyczne (a nawet i ładne) – nie były wodoszczelne. Zdecydowanie lepsze właściwości ochronne miała harcerska pałatka. Jednak jazda na rowerze w pałatce?... Nawet nam – duetowi dwóch nieustraszonych cyklistów z gorącymi, młodymi głowami – udałoby się zrealizować tego zamierzenia.

Ubrań na zmianę mieliśmy w ilości absolutnie minimalnej – dlatego odzież musieliśmy często odświeżać. Pranie robiliśmy po drodze – gdzie się dało: w balii w domu nowo poznanej ciotki, przy studni na podwórzu lub w rzece. Odzież wysychała też w różnych warunkach: na sznurze na strychu pachnącym bejcowanym drewnem lub wędzonym boczkiem, na nas – podczas jazdy, albo wisząc na gałęzi drzewa (kiedy my w tym czasie np. jedliśmy przygotowany naprędce posiłek). Kiedy patrzę na jedno zdjęcie z tamtej wyprawy, to widzę że na bagażniku naszego tandemu nie było praktycznie żadnych bagaży. Chcieliśmy jak najmniej obciążać rower nie tylko dlatego, żeby lżej i szybciej nam się jechało, ale również i z tego powodu, że mieliśmy świadomość, iż tandem – choć złożony z trzech rowerów – miał mechaniczną wytrzymałość na jedną osobę a nie na dwie.

Czasem musieliśmy naddawać drogi – i to sporo. Kiedy zabłądzi się, jadąc samochodem, pojawia się żal, że trzeba zawracać. Kiedy pomyli się drogi, jadąc rowerem albo idąc pieszo, sytuacja staje się jeszcze bardziej skomplikowana, ponieważ nie tylko trzeba nadłożyć drogi, ale również wygospodarować na to dużo więcej czasu niż w przypadku podróży samochodowej, No i trzeba na zawracanie mieć sporo sił. A my bywaliśmy z Jankiem nieraz tak zmęczeni po całym dniu podróżowania, że marzyliśmy o noclegu (nawet w przydrożnym rowie) a nie o poszukiwaniu właściwej drogi dojazdowej do konkretnej miejscowości.

Pod koniec wyprawy tandemem przyszły dla nas dość ciężkie czasy – pod kątem finansowym. W kieszeni mieliśmy resztki pieniędzy, a przed nami było jeszcze wiele kilometrów do zrobienia i wiele miejsc do zwiedzenia. W plecaku zostały nam dwie duże puszki radzieckiego pasztetu – bezsprzecznie bardzo smacznego (konserwy z tamtych czasów to była poezja kulinarna – bywały lepszej jakości, niż droga kiełbasa wisząca na haku w sklepie z wędlinami). Z czym jednak pasztet zjeść?... Ponieważ po drodze, od pewnych serdecznych gospodarzy, którzy ubolewali nad moją i Janka chudością, otrzymaliśmy worek ziemniaków, postanowiliśmy sporządzić autorską potrawę: ugotowaliśmy kartofle, otworzyliśmy puszkę z pasztetem i smarowaliśmy nim lekko ciepłe bulwy. Popiliśmy wszystko ciepłą, mocną, świeżo zaparzoną herbatą. Do dziś pamiętam smak tych ziemniaków z pasztetem – był niepowtarzalny i bardzo oryginalny.

O ile mi wiadomo na dzień publikacji tej książki, podobnej wyprawy przez Polskę i dookoła Polski – na dwuosobowym, własnej konstrukcji i własnoręcznie zrobionym tandemem – nie zorganizował w naszym kraju nikt, ani przede mną i Jankiem, ani po nas. Nasz rowerowy składak spisał się na medal, choć nie obyło się bez problemów.

Kilka tysięcy kilometrów pokonaliśmy, na szczęście, bez żadnej kontroli milicyjnej (wtedy jeszcze była w Polsce milicja a nie policja). Nie dlatego, że stróżów prawa i porządku publicznego nie było na drogach. Milicjanci w ogóle się nami nie interesowali – pomimo że nasz tandem nie miał nawet lampy! [Uciążliwość wynikającą z braku lampki odczuwaliśmy szczególnie po zmierzchu, kiedy wciąż byliśmy w trasie.]

Gdybyśmy obecnie jechali naszym pojazdem, na pewno niejednokrotnie zapłacilibyśmy mandat za brak oświetlenia. Obecnie lampy są przecież

obowiązkowym wyposażeniem roweru. Na przełomie lat 60–70. XX w. posiadanie oświetlenia w rowerze było natomiast prawie ekstrawagancją.

Jak wspomniałem, milicja nie skontrolowała nas podczas podróży tandemem ani razu, ale – jakby dla przeciwwagi – co rusz zatrzymywano mnie podczas wędrówki polskimi drogami wiele lat później, mianowicie w czasie mojego „Marszu do korzeni", czyli na Litwę. Zatrzymań dokonywali wtedy już nie milicjanci, ale policjanci. Nie były to jednak zatrzymania mające na celu legitymowanie mnie. Panowie policjanci chcieli po prostu zrobić sobie ze mną zdjęcie. To było bardzo miłe!

Po zakończeniu szkoły nasz kontakt z Jankiem się urwał. Po wielu latach próbowałem odnaleźć mojego towarzysza podróży. Długo szukałem i ostatecznie się udało – cieszyłem się z tego, jak młokos! Okazało się, że Janek mieszkał przez te wszystkie lata niecałe 5 km ode mnie.

Podczas naszego spotkania po latach dowiedziałem się, że – mimo jego nazwiska (Wszędybył) nie był wszędzie. Nie podjął już nigdy takiego wyzwania turystycznego, jakie zrealizował ze mną. Postawił na stabilizację. Ja odwrotnie – chociaż geneza mojego nazwiska nie sugerowała związku z podróżami, przez dużą część swojego życia byłem nimi zajęty. Wymyślaniem i realizacją coraz to nowych kierunków swoich podróży.

Zaproponowałem Jankowi powtórkę naszej podróży, jednak odmówił z uwagi na prace związane z domem i poza nim.

Nie każdy ma taką chęć do podróżowania, jak ja. Rozumiem to doskonale. Każdy z nas jest przecież inny.

Nieraz zastanawiałem się, dlaczego inni nie nie podróżują, jeżeli o tym marzą. Obserwując ludzi spostrzegłem, że nie każdy ma odpowiednią konstrukcję psychiczną i fizyczną – nie tylko do samego podróżowania, ale również i do podołania nieraz wielomiesięcznym przygotowaniom do podróży, wliczając w to załatwienie zakwaterowania, organizowanie biletów na loty bądź na inne środki transportu. Przede wszystkim jednak nie każdy ma w sobie odwagę, aby zacząć realizować swoje marzenia i opuścić na wiele dni, tygodni czy miesięcy wszystko, co stanowi bazę jego życia, nawet najukochańszą osobę! A bez tego w życiu nie zadzieje się to, czego człowiek chce dokonać!

Jestem zdania, że jeżeli sobie czegoś sam nie załatwię, to nikt inny tego za mnie nie zrobi. Nauczyłem się, że aby do czegokolwiek dojść,

cokolwiek osiągnąć, muszę radzić sobie sam. Podczas każdej wyprawy, którą odbyłem i którą odbędę, miałem i będę miał świadomość, że jestem odpowiedzialny za samego siebie, i że tylko od mojej własnej operatywności zależy, czy uda mi się coś zorganizować. To dawało mi (i daje nadal) niesamowite poczucie siły i bezpieczeństwa – wiem bowiem, że mogę na sobie polegać; że nie posunę się do takich decyzji, które by uniemożliwiały mi powrót do domu. Co innego, oczywiście, jeżeli coś się dzieje z przyczyn niezależnych ode mnie.

Kiedy jestem zainteresowany jakimś przedsięwzięciem, tak długo chodzę, szukam, dopytuję..., aż uda mi się osiągnąć cel, czyli – najczęściej – kontakt do kogoś lub informację o czymś. Ze sponsoringiem jest – niestety – inaczej: mogę opowiadać, przedstawiać plany, proponować, że będę chodzącą – dosłownie! – reklamą sponsora, ale nieraz przekonałem się, że nawet moje szczere jak złoto chęci i świetne pomysły na wyprawy nie wystarczyły, aby potencjalny darczyńca choćby tylko przedstawił propozycje współfinansowania podróży.

Nie mam o to pretensji do moich niedoszłych sponsorów. Niemniej, piszę o tym, gdyż mam świadomość, że wielu młodych zapaleńców, marzących o podróżach na kres świata, liczy na sponsoring. Tymczasem zdobyć partnera medialnego lub przedsiębiorcę do współfinansowania wyprawy, to piekielnie trudne zadanie.

Jeżeli miałem cel do zrealizowania w postaci planów na kolejną podróż, a potrzebny mi był patronat, pukałem do każdych drzwi. Byłem m.in. u szczecińskiego prezydenta, u przedsiębiorców, w instytucjach pożytku publicznego... – wszędzie tam, gdzie mogli znaleźć się ludzie, którzy w jakiś sposób mogliby pomoc mi w realizacji zaplanowanego przedsięwzięcia.

Od czasu mojej pierwszej podróży tandemem wiem, że aby realizować swoje marzenia związane z poznawaniem nowych miejsc, nie trzeba mieć grubego portfela ani zasobnego rachunku bankowego. Można podróżować tanio. Rezygnuje się w ten sposób z luksusu, ale nawet za niewielkie pieniądze można zapewnić sobie wygodę. Z własnego doświadczenia wiem, że jeżeli ktoś nastawia się na poznawanie i doświadczanie świata a nie na luksus, ten może zrealizować wiele podróży, nie zostając bankrutem po pierwszej wyprawie.

Wyprawa tandemem dostarczyła mi pierwszych ważnych doświadczeń podróżniczych. Przydały się już za kilka lat; ale najpierw dosięgła mnie strzała Amora – celnie i na całe życie.

1973 r. Podróż na Litwę z ojcem po obrączki ślubne

To był pamiętny rok, bo zakochałem się! Na zabój!

Moją przyszłą Żonę spotkałem na potańcówce. Nieraz powtarzam, że zakochałem się w dziewczynie, widząc ją od tyłu – bo pierwszy raz zobaczyłem moją przyszłą Żonę w szatni. Kiedy, zwrócona do mnie plecami, ściągnęła płaszcz, było na co popatrzeć: figura – marzenie! Potem zobaczyłem Ją w sali – już przy stoliku. Zerkałem, ale długo nie miałem odwagi, aby podejść i poprosić Ją do tańca. Kiedy wreszcie się odważyłem, przetańczyliśmy ze sobą caluteńką noc! Miała na mię Jadwiga. Po pół roku od naszego pierwszego spotkania ta fantastyczna dziewczyna była już moją żoną!

Zanim jednak stanęliśmy na ślubnym kobiercu i powiedzieliśmy sobie „Tak", pojechałem z moim ojcem na Litwę po obrączki. Pomimo dużej odległości, jaka dzieliła Szczecin od Republiki Litewskiej, była to opłacalna wyprawa. Złoto w byłym Związku Radzieckim było bowiem znacznie tańsze niż w Polsce; nie trzeba było też zapisywać się na nie w Urzędzie Stanu Cywilnego i czekać w kolejce na ich przyznanie. Takie to były czasy. Taki był PRL, że królowała w tym okresie reglamentacja, a na kartki było prawie wszystko.

Złota w Polsce brakowało, bo ludzie wykupywali je jako lokatę kapitału Teraz też to robią, ale złota już nie brakuje

Na dodatek radzieckie obrączki były prawie na pół palca, bo miały po 1,5 cm szerokości! Było w nich tak dużo złota, że choć można było wówczas przez granicę przewieźć jedynie dwie sztuki (po jednej dla młodego pana i młodej pani), to już w Polsce zanosiło się te cacka rosyjskiej sztuki złotniczej do jubilera, który przerabiał jedną obrączkę na dwie, a sprzedaż tej drugiej pozwalała na wyprawienie weseliska. Ja zostawiłem obrączki w niezmienionym kształcie. Dzięki temu dzisiaj na serdecznych palcach moim i żony błyszczą szerokie obrączki.

Ostatecznie wyprawa po obrączki okazała się podróżą nie tylko bez kosztów, ale i i zyskiem – całkiem niezłym. Oto dlaczego: z obrączkami

dotarliśmy do granicy. Tam celnik dopytywał o rzeczy do oclenia. Pokazałem mu moje dwie obrączki. I mój tata też pokazał dwie obrączki, które kupił. Celnik spojrzał gniewnie w jego stronę, dopytując, czy też się żeni.

– *Nie, ale po wielu latach małżeństwa chcę wreszcie mojej żonie założyć obrączkę ze złota a nie tombakową. I chcę, aby były to obrączki okazałe, a takie tylko w ZSRR mogłem dostać. Nie ma lepszych* – tak mój ojciec odpowiedział.

Musiał tą tyradą chyba mile połechtać jakąś czułą patriotyczną strunę w celniku, bo ten spojrzał już miękko na mojego tatę, dopełnił formalności i puścił nas przez granicę z dwoma kompletami obrączek.

Kiedy wróciliśmy do domu, mój tata ściągnął buty i zaczął z dużą zawziętością odrywać z podeszew zelówki. Patrzyłem zaskoczony na to, co robił. Za parę chwil z każdego obcasa wygrzebał lśniącą złotem obrączkę!

Na pytanie, dlaczego mi nie powiedział o ukrytych obrączkach, odpowiedział, że bał się, iż ja – niedoświadczony młokos o gorącej głowie – zdradzę się swoim nerwowym zachowaniem przed celnikami. Jakoś przeczuwał, że kiedy pokaże celnikowi obrączki, ten nie skieruje go już na kontrolę osobistą.

Ze sprzedaży części przywiezionych obrączek pieniędzy starczyło na opłacenie wszystkich napojów i trunków na naszym weselu!

Podróżowaliśmy po obrączki z moim ojcem nie pociągiem, jak kiedyś, ale jednym ze złożonych przeze mnie samodzielnie samochodów marki „Trabant".

Zatrzymaliśmy się – co oczywiste – u rodziny mojego taty w Najdunach. Ponieważ wieść o naszym przybyciu i powodzie przyjazdu rozeszła się w wiosce lotem błyskawicy, do domu moich krewnych zaczęli tłumnie schodzić znajomi i sąsiedzi, a nawet znajomi znajomych – aby pogratulować mojemu ojcu decyzji syna (czyli mojej), poradzić, gdzie najlepiej i najkorzystniej ślubne obrączki kupić, oraz aby mi – nieopierzonemu jeszcze młokosowi – udzielić złotych rad doświadczonych żonkosiów.

Wbrew pozorom, była to wyprawa wymagająca wielkiej krzepy. Familia litewska tak się bowiem cieszyła z naszej wizyty i mojego ożenku, że podróż po obrączki wspominam teraz jako jedno wielkie świętowanie. Fetował głównie mój tata, bo ja byłem przede wszystkim kierowcą – multum ciotek, wujków, kuzynostwa i sąsiadów było chętnych na przejażdżkę moim samochodowym składakiem. Poza tym mi, jako przyszłemu nowożeńcowi, nie wypadało celebrować własnego ożenku tak intensywnie, jak mojemu tacie…

Ponieważ wszystkie te spotkania – zgodnie z tamtejszą tradycją – były sowicie zakrapiane alkoholem, więc zebranie się na powrót do Polski było nadzwyczaj trudne. Na szczęście jednak udało się któregoś dnia przekonać rodzinę, że na nas naprawdę już pora.

1976 r. Trabantem dookoła Polski, czyli podróż poślubna śladami wyprawy tandemem

Wyprawa tandemem otworzyła wrota moim marzeniom i kolejnym podróżom, realizowanym – w zależności od rodzaju i celu wyprawy – dzięki posiadaniu samochodu lub dzięki sile i wytrzymałości moich nóg (co zresztą za kilka lat stało się moim znakiem rozpoznawczym i z czasem przyczyniło się do nadania mi przydomka *Człowiek o Stalowych Nogach*).

Początkowo jednak droga do realizacji marzeń o dalekich podróżach była równie daleka, jak krainy, które chciałem zwiedzić, bo w czasach mojej wczesnej młodości po drogach wprawdzie kursowały syrenki, wołgi, zaporożce i trabanty, ale wszystkie auta – niezależnie od marki i kraju produkcji – były kwalifikowane do dóbr luksusowych. Samochodami jeździli wówczas nieliczni – głównie ludzie na świecznikach ówczesnej władzy lub aktorzy; i czasem tylko lekarze.

Nie było mnie wtedy stać na zakup auta, ale ponieważ od zawsze uważałem, że chcieć, to móc, tak też w końcu i ja stałem się dumnym posiadaczem własnego samochodu – zbudowałem go sobie sam! I był to samochód marki Trabant – legenda ówczesnej motoryzacji i wynik geniuszu myśli inżynierów z byłej już NRD – Niemieckiej Republiki Demokratycznej (tak wówczas nazywał się kraj naszych sąsiadów zza Odry, który stanowił swoisty bufor pomiędzy kapitalistycznym zachodem Europy a blokiem państw socjalistycznych na wschodzie i południu Starego Kontynentu).

Podróż ze świeżo poślubioną małżonką była dla mnie oczywistością. I oczywiste było (co wynikało z rzeczywistości ustrojowej PRL-u, w której wówczas żyliśmy), że podróżować będziemy po naszym kraju. Staliśmy z moją Jadwigą u progu naszego wspólnego życia, materialnie nie posiadaliśmy prawie niczego, ale oboje wiedzieliśmy, że pojedziemy przed siebie – razem i przez polską krainę. I pojechaliśmy – wspomnianym trabantem, który samodzielnie złożyłem z części przywiezionych z NRD. Był to samochód absolutnie oryginalny – nie tylko ze względu na kolorystykę. Ściągałem bowiem do niego przez kilka miesięcy części z Niemiec – stopniowo,

Z żoną, młodzi i piękni przed podróżą

ale całkiem legalnie. Czasem przywiozłem pociągiem drzwi, czasem szybę do okna, czasem znajomy dostarczył informację, że ktoś gdzieś dysponuje określonymi częściami, czasem jechałem po fragment mojego auta na rowerze ze Szczecina do Niemiec… I tak powolutku powstawał samochód, którym wyruszyłem potem w Polskę dokładnie tą samą trasą, którą przebyłem kilka lat wcześniej na tandemie z kolegą Jankiem.

Tym razem miałem wyjątkowego towarzysza podróży – była nim moja kochana żona Jadwiga.

Ta podróż – z uwagi na obecność mojej małżonki – odbywała się nie tylko zdecydowanie bardziej wygodnym środkiem transportu od tandemu, ale wymagała też od nas zdecydowanie mniej wysiłku, niż moja wyprawa tandemem. I, oczywiście, dostarczyła zupełnie innych wrażeń niż ta, którą z kolegą odbyłem kilka lat wcześniej.

Była to podróż niezapomniana, której szczegóły wyryły się w pamięci na zawsze. Nieraz myślałem, aby kupić teraz trabanta, odrestaurować go i pojechać w taką podróż jeszcze raz. Ale to tylko jeden z wielu planów na kolejne podróże. Nie wiem, czy mi na realizację wszystkich życia starczy!

Podkreślę jeszcze, że trabant, którym jechaliśmy dookoła Polski z moją żoną, nie był pierwszym samochodem, który złożyłem – wcześniej powstały trzy sztuki takich składaków robionych na zamówienie. Samochody te rozeszły się, jak ciepłe bułeczki, a ja dzięki temu zarobiłem tyle pieniędzy,

że było mnie stać, aby kolejny samochód złożyć tylko dla siebie i dla mojej żony i wyjechać na wielotygodniową podróż śladami tandemu. Nasz małżeński trabant był więc czwartym z kolei składakiem, ale był to składak najładniejszy: szalenie elegancki – biało-kremowy, z ciemnym pasem na klapie silnika. Powstał z trzech różnych złomowanych pojazdów. Wybierałem te wraki na złomowiskach w Niemczech, przeglądałem, oceniałem, co się przyda. A potem z każdego wyciągnąłem to, co było mi potrzebne i ciąłem, spawałem, składałem, skręcałem, aż wreszcie powstało białe cudo, które było godne tego, aby wozić moją żonę po Polsce.

Niektóre części do moich składaków przywiozłem pociągiem, niektóre – na rowerze. Współczesnego czytelnika transport części samochodowych drogą kolejową może nie zdziwić – można przecież sobie łatwo wyobrazić, że bagaż wrzucałem do wagonu w Niemczech, siadałem obok niego i wysiadałem na peronie w Szczecinie. Ale przewóz elementów samochodu z wykorzystaniem roweru?... Przecież tylko do Niemiec musiałbym tym rowerem jechać prawie 50 km!

Tak, jechałem. Wsiadałem na rower, jechałem prawie 50 km do Niemiec, kupowałem części do mojego samochodowego składaka, mocowałem to sprytnie na rowerze i wracałem tego samego dnia do Polski tą samą drogą, którą przyjechałem, czyli znów pokonywałem prawie 50 km.

Do Niemiec jeździłem też tuż przed moim weselem – przywoziłem wtedy od naszych sąsiadów spirytus na zabawę weselną. Różnica w cenie była wtedy tak ogromna, że opłacało mi się tam pojechać kilka razy i sprowadzić alkohol. To był solidny, niemiecki produkt monopolowy – nawet najbardziej zaprawieni w konsumpcji trunków wysokoprocentowych biesiadnicy nie dali mu rady!

Takie to były czasy, że człowiek – aby coś mieć i aby zapewnić sobie i innym miłe wspomnienia na długie lata – musiał być operatywny.

Wyprawy po części do samochodu i alkohol do Niemiec oraz po obrączki na Litwę nauczyły mnie, że wystarczy jedynie chęć i aktywność w kierunku realizacji celu, a można mieć to, co się chce, za niewielkie pieniądze i w lepszej jakości/bardziej oryginalnie, niż mają inni.

Podróż dookoła Polski trabantem była chyba większym przeżyciem dla mojej żony niż dla mnie, ponieważ to wtedy po raz pierwszy w życiu wybranka mojego serca wyjechała poza swoje rodzinne miasto, czyli poza Szczecin! Wtedy też po raz pierwszy spała w namiocie, myła się w jeziorze

lub rzece, na śniadanie piła gorzką, czarną, mocną herbatę z wrzątku zagotowanego na turystycznej kuchence i jadła kanapki przygotowane z suchego prowiantu. I wtedy również po raz pierwszy widziała góry, wyżyny, niziny, wędrowała po halach, kotlinach, wąwozach, podziwiała całą naszą kochaną Polskę!

Jechaliśmy wzdłuż granic – wtedy jeszcze trzech: niemieckiej, czechosłowackiej i radzieckiej. Idea była taka, że trzymamy się tak blisko granicy, jak to możliwe, a odbijamy od niej wtedy, gdy jest coś ciekawego do zwiedzenia. Dzięki pomysłowi trzymania się najbliżej granicy, dojechaliśmy m.in. do Bukowca w Bieszczadach – miejscowości położonej najdalej na południu Polski, gdzie w latach 70. XX w. można było dojechać samochodem.

Wrażenia z naszej wyprawy małżeńskiej były niezapomniane. Dla mnie większe jeszcze niż dla mojej małżonki, bo cóż to był za widok, obserwować wypełnione zdumieniem oczy i rozradowaną twarz poślubionej mi ślicznej dziewczyny, która po raz pierwszy w życiu zobaczyła większy kawałek świata, w tym osławioną Śnieżkę!

Ponieważ jechaliśmy naszym składanym trabantem prawie tą samą trasą, którą kilka lat wcześniej pokonałem tandemem z kolegą, odwiedzaliśmy wiele miejsc już mi znanych. Czułem się wtedy nieomal jak światowiec! A na pewno, jak przewodnik turystyczny, którego moja małżonka